

Tam już nikt nie mieszka

Kamienica jest solidna, duża, jak zamek warowny. Na wzniesieniu przy ulicy, a pomiędzy – ogródki, które, jak fosa do zamku, bronią do niej dostępu. Z drugiej strony, od zachodu, otwarta przestrzeń zamknięta ścianą lasu, za którą kończy się miasto.

W przerwie między zabudowaniami przy drodze po zboczu wspina się do niej ścieżka (w lecie obrosnięta chwastami i trawą, zimą oblodzona, czasami nie do pokonania). Maria mieszka na parterze, w trzeciej i ostatniej zarazem klatce. (Obok druga ścieżka między ogródkami, do przystanku autobusowego). Kamienne dwa stopnie i ciężka, skrzypiąca w zawiasach, brama; i jeszcze kilka schodków (parter jest wysoki). Przy drzwiach od mieszkania czerwony przycisk dzwonka, w okrągłej, ebonitowej czarnej puszcze. Zabrzęczał tradycyjnie (jak kiedyś w szkole na przerwę), i cisza. Wsłuchuję się i nic. Żaden dźwięk nie dociera zza drzwi. Czyżby jej nie było? Może w szpitalu? W tym wieku wszystko możliwe; a może syn zabrał ją do siebie? Może nie słyszę? grube mury, podwójne drzwi; przyglądam się wielu warstwom olejnego burgunda (wylażą jedną spod drugiej jak sweter, koszula i podkoszulek spod za krótkiego rękawa marynarki). Stare, solidne drzwi z minionej epoki; podobne są przy kiblu na korytarzu, tuż za wejściowymi drzwiami. Klitka z lamperią w kolorze jasny orzech, że tylko można usiąść; żeliwna spłuczka i zawieszzone na gwoździu pocięte kawałki robotniczej i trybuny wałbrzyskiej. Stanowiły ciekawą (może intymność miejsca miała też swój wpływ?), choć niekiedy już znaną, lekturę uciętą w najmniej odpowiednim momencie. Przy okienku z firanką stare egzemplarze gazet. Można się było rozczytać i zapomnieć – wówczas pobyt w odosobnieniu się przedłużał (zimą przytulność i intymność przeganiał mróz i nawiany przez niedomknięte okienko śnieg).

Nacisnąłem jeszcze raz. Usłyszałem dochodzący zza drzwi szmer – byłem pewny, że się nie mylę – i po chwili zgrzyt klucza w zamku, potem jeszcze raz w drugim, uchylły się drzwi. Maria siedziała na wózku; z uniesioną głową, z bladymi zapadniętymi policzkami i nieruchomymi gałkami oczu, które się we mnie wpatrywały. Pewnie nie kojarzyła mnie ze znanymi sobie osobami. Uśmiechnąłem się, i wtedy dopiero drgnęły jej policzki. Nerwowo, niepewnie.

– To ja, Adam – przypomniałem jej zastygłej pamięci. – Nie poznajesz mnie?

Uśmiechnęła się, jeszcze bez przekonania, raczej, że tak wypadło; po chwili jej twarz rozpromieniła się, ona uniosła ręce i dłońmi objęła głowę.

– O Boże, gdzieżbym się spodziewała! Adaś... – Cofnęła się zapraszając mnie do środka.

Tańczyła na kółkach po dużej kuchni; między kredensem przy oknie, dwupalnikową kuchenką na szafce i zlewozmywakiem, żeliwnym z głębokimi komorami. Duży aluminiowy dzbanek postawiła na pełgających jasnoniebieskich płomykach i wróciła do kredensu.

– Ty pewnie nienawykły do takiego i wolisz w szklance – powiedziała, patrząc krytycznie na kubek w dłoni. Usiłowałam zaprzeczyć, powiedzieć, że nie ma to znaczenia („przecież mogę zrobić wyjątek i wypić raz w kubku”, pomyślałam), ale ona podekscytowana moją obecnością, ze szklącymi się oczami, kontynuowała:

– Szklanki stoją wyżej, sama już nie sięgnę – uśmiechnęła się – może ty...

Kiedy już zaparzyła herbatę i wyłożyła na talerzyk ciastka, podjechała kółkami pod stół, wsparła przedramiona o jego blat, splotła grube palce dużych dłoni i utkwiała we mnie wzrok.

– No to opowiadaj, co u ciebie?

Pytanie banalne. „Pyta, żeby pytać”, pomyślałam. Jeśli się kogoś widzi raz na kilka lat to czym mówić? Opowiadam o najbliższych, kuzynach, przypominam ich imiona, Maria kiwa głową, potakuje, kolejnego pokolenia nie widziała, więc ograniczam się do wyliczenia ilości potomstwa. Na tym poprzestaję i pytam w ten sam sposób.

– Co u mnie? – rozkłada bezradnie ręce – sam widzisz. Sama jak ten palec. Pies z kulawą nogą nie zajrzy.

Oponuję, że chyba nie jest tak źle, skoro na opłaty, jedzenie i lekarstwa wystarcza. Ona na to, że „dobrze wcale”. Patrzy mi w oczy, dwie łzy zbiegają bruzdami w policzkach.

– Jakoś sobie radzę. Jak potrzebuję, żeby co kupić, to najpierw słucham, czy ktoś nie schodzi z góry. Po krokach rozpoznaję kto, jeśli sąsiadka albo jej dzieci, wtedy stukam. – Podjeżdża do drzwi, bierze wiszący na sznurku tłuczek do ziemniaków i uderza dwa razy, mocno (drzwi są podwójne, chce mieć pewność, że ten ktoś na korytarzu usłyszy). – Dzieci biegną szybko, łapu-capu, w górę czy w dół, dla nich bez różnicy, nie to, co stary. Bojszczakowa i Paduchowa też stare, ale jakoś się kołaczą, o własnych siłach... – Zastanawia się chwilę, macha lekceważąco ręką, jakby zrezygnowała z tego, co jeszcze przed chwilą – miałam takie wrażenie – chciała mi powiedzieć; pewnie uznała, że nie ważne, żeby o tym mówić. – Pijany to szura butami – kontynuuje – przewróci się czasem, aż zadudni, leży, a ja wtedy nasłuchuję, czy żyje, przecież to człowiek, szkoda. Jak nie wlezie po schodach na górę – spi

pod drzwiami. Gdy słyszę chrapanie, jestem spokojna – żyje. – Uśmiecha się. – Pomagają mi, pomagają...

Atmosfera gęstnieje, zapada ciężące milczenie. Siedzimy, Maria naprzeciw, z drugiej strony stołu. Patrzy na mnie i z potakiwaniem, jakby siebie i mnie utwierdzała w przekonaniu, że to już tyle lat minęło, kiwa głową. Pyta, czy jeszcze mi zrobić herbaty. Zgadzam się, byle przerwać powstałą martwość. Ona wprawia w ruch swój, jak nazywa żartobliwie, wielosipied i znowu jeździ między kredensem, umywalką i kuchenką gazową.

Kiedy ostatni raz siedziałem w tym miejscu, przez uchylone drzwi do pokoju widziałem stryja. W piżamie, na brzegu tapczanu, z nogami spuszczoneymi na podłogę. Przed nim, na taborecie, stała szklanka z herbatą i buteleczki z lekarstwami. Twarz miał bladą, rzadkie siwe włosy spadały na uszy; mówił z trudem, rękami wykonywał powolne ruchy. Miał pod siedemdziesiątkę (wtedy myślałem, że to dużo, bardzo dużo) i, domyślałem się, choć trudno mi się przyszło z tym godzić, że stryj dobiega już swojego kresu. Sprawiał wrażenie bezradnego. Stryjna opiekowała się nim: poprawiała poduszkę, prześcieradło, przypominała o lekach i podawała jedzenie, którego już nie chciał (sama poruszała się ociężale, ciągnąc z trudem nogi). Był już starym, zniedołężniałym człowiekiem. Oczy moje mówiły prawdę, którą z trudem akceptowało serce; ono z determinacją szukało w zakamarkach pamięci innych obrazów stryja Jasia. W ciemnych włosach ze srebrną skazą, z czerstwymi rumianymi policzkami i wiadrami porzeczek i agrestu wiszącymi u rąk, albo plewającego grządki, zrywającego czereśnie. Duże drzewo rosło pośrodku. Wszedłem na sam wierzchołek i zrywałem żółte owoce do wiaderka, opychając się nimi nieprzyzwoicie i plując pestkami. Nigdy tak smakowitych czereśni nie jadłem. Stryj stał na dole z zadartą głową i raz po raz powtarzał: „Ostrożnie, nie spadnij!”. Zapewniałem solennie, na bezdechu, sięgając gałęzi na obrzeżach korony, że nie spadnę.

Lato spędzał Jaś w ogrodzie między rozłożystymi krzakami porzeczek i agrestu; nawoził, podlewał i podwieszał obwisłe od nadmiaru owoców pędy. A kiedy nabrały kolorów i soczystego miąższu, wypełniał nimi wiaderka i, odpoczywając po drodze, wspinał się ścieżką, między skleconymi z czego bądź opłotkami, do domu. A tam oczekiwała Maria. Stół rozstawiony na środku, słoiki wymyte, sprężynki ułożone obok, wygotowane i wytarte do sucha gumki do weków, nakrętki twist. Wsypywała owoce do miski, płukała, napełniała garnki, gotowała i smażyła. Na drugi dzień wychłodzone słoiki w koszach stryj przynosił na półki do piwnicy. Latem i jesienią praca w ogrodzie wypełniała mu czas wolny po powrocie z koksowni. Niedziela była dniem odpoczynku, poniekąd. Maria, bardziej z konieczności niż potrzeby towarzysztwa, wychodziła czasami do sąsiadek „na ławki” przed blokiem.

– Co ty taka zarobiona przez cały tydzień, że cię nie widać – pytały one jednym głosem. Maria, że spolegliwego usposobienia, coś tam im tłumaczyła, ale do nich jakby nie docierało. – Chłopa tego zamęczysz, ogródek albo koksownia, koksownia albo ogródek – kwakały jak te kaczkę, jedna przez drugą. Solą im był w oku niepijący i niepalący mąż Marii. Ich chłopy kopciły papierosy, żłopały piwo, wódkę, a jesienią wino z butli, nie dając mu dojrzeć; Jaś jak ta mrówka, ciągle się krzątał przy czymś, zawsze z dobrym słowem na ustach, pogodną twarzą i z żartem. – Poszedłby czasami z innymi na piwo albo i wódkę. Coś mu się od życia należy – kontynuowała Paduchowa, której stary („mój stary”, mówiła zawsze), potrafił położyć się na kanapie z wężykiem w ustach, którego drugi koniec był zanurzony w butli na szafie, i ciągnąć tak długo, dopóki sen go nie zmorzy. Wtedy ona – obserwując ukradkiem – zauważała ten moment, odłączała mu kroplówkę i odwracała na bok, by się nie udusił, kiedy się porzyga, co się mu zdarzało nader często.

Nie wiedziałem, że widzimy się ostatni raz. Nie pamiętam momentu pożegnania. Odszedł jak żył: w ciszy i spokoju, w słoneczny październikowy dzień. „Zasłużył sobie...” – mówili znajomi. „Nawet na piękny dzień jesienią trzeba sobie zasłużyć”, uważali niektórzy. Jaś z pewnością nie podzieliby tego poglądu. „Ot, czysty przypadek” – powiedziałby.

Jego grób odwiedziłem latem.

Wiedziałem, ogólnie mówiąc, gdzie mam szukać: „od bramy alejką w górę, potem w lewo, przy płocie”. I tak zrobiłem – lecz płot długi, a grobów dziesiątki, ten, którego szukałem, nie wiadomo gdzie. Krążyłem wokół bez skutku rozglądając się bezradnie. Parę osób kręciło się tu i tam. „Ale skąd one mogą wiedzieć? Muszą być w jego wieku, może wtedy...” – rozważałem, zastanawiając się, którą spytać. Wtem w letnią ciszę wdarło się stukanie młotka. Spojrzałem w stronę, z której dobiegał głuchy dźwięk. Powiewy wiatru przyjemnie chłodziły twarz i ramiona. Przy cmentarnej kaplicy, na placu pławiącym się w słońcu, pracowało dwóch robotników. „Może oni...?”

Przerwali pracę, kiedy podszedłem. Powiedziałem, czego szukam. Wymieniłem imię i nazwisko zmarłego. Jeden z nich, ten w brudnym i rozciągniętym podkoszulku, wstał z kłęczek, wytarł o spodnie ręce (to pewnie na okoliczność, gdybym chciał się z nim przywitać) i podszedł do mnie.

– Mówisz pan, Dyrkowski Jan – powtórzył, by zaraz nie zapomnieć. – A kiedy był chowany? – spytał jeszcze. Powiedziałem, a on ruszył przed siebie alejką, ja za nim. Po kilkunastu krokach się zatrzymał, rozejrzał, skreślił w bok, wrócił, potem w drugą stronę, znowu wrócił. Twarz mu się zasepiła. Wbił brudne paluchy we włosy pod czapkę. – Kurwa, gdzie on jest? Dyr-kowski Jan. Dyr-kowski... – mówił do siebie, omijając mnie spojrzeniem. – Tak,

chowaliśmy go jesienią. Już sobie przypominam. Tam koło płotu. – Puścił się na przełaj między nagrobkami, ja za nim. Zatrzymał się. – To nie tu. – Odwrócił się zawiedziony. – No, kurwa, popatrz pan... Ale mi się popierdoliło w tej głowie. – Pokryte kilkudniową szczecina prostą oblicze robotnika zasepiło się szczerze. Usiłowałem sobie wyobrazić kołowaciznę w jego pamięci: pogrzebowe kondukty, czerń pogrążonych w smutku postaci, nazwiska zmarłych, świeże czeluści grobów. Stałem bezradny, zdany na tego człowieka. Odwrócił się. – O, tam! – wykrzyknął prawie i rzucił się w wąską alejkę. Podążyłem za nim. – A mówiłem, że zaraz znajdziemy! – Łypał na mnie białkami oczu, nie kryjąc zadowolenia. Dreptał nogami, wycierał dłonie o uda. – Masz pan papierosa? – spytał nieśmiało. Poczęstowałem go, sam też zapaliłem. – Weź pan – podałem mu paczkę. Niech ma, tyle się chłop nachodził. Ochoczo wyciągnął rękę.

– To ja już sobie pójdę – powiedział po chwili.

Do „tu i teraz” przywołało mnie dzwonienie szkła. Maria postawiła szklanki ze świeżą herbatą, wsypała cukier i głośno mieszała; po chwili dosypała herbatników i zgarnęła na dłoń okruszki z ceraty. Z szuflady w komodzie, będącej w zasięgu ręki, wyjęła stary, o postrzępionych krawędziach, niemiecki album (podobny był u nas w domu). Zobaczyłem czarno-białe (niektóre przebarwione, zrobione po amatorsku), wetknięte w rożki fotografie; niektóre luźno wciśnięte między szarymi kartkami. Te, Maria wyjęła i ułożyła z nich stosik na stole. Zaczęliśmy oglądanie od albumu. W szczegółach opowiadała, kogo przedstawiają, kiedy i gdzie były zrobione. Oboje, ona i Janek, są jeszcze młodzi, ona w cienkiej, lejącej sukience, on w białej koszuli z podwiniętymi rękawami: siedzą na trawie (na łące za komórkami), z rowerami, z dziecinnym wózkiem, on z kolegami, ona z koleżanką, to znowu razem objęci delikatnie. Zdjęć jest dużo, wszystkie podobne. Uśmiechnięci, bo na zdjęciu trzeba się uśmiechać, żeby nawet po piętach deptał smutek. Na niektórych fotografiach można odczytać z pieczętki nazwę zakładu fotograficznego. Maria bez trudu wymawia jego niemieckojęzyczną nazwę. Czas wojny, a Jaś dwudziestoparoletni (wygląda na „po trzydziestce”) w garniturze i kapeluszu, na innym zdjęciu w sukiennym płaszczu i z papierosem w ustach („jeszcze mu cygaro i jak Amerykanin” – komentuje Maria). Tutaj ma kamienną twarz i lodowate spojrzenie, jak Ric z Casablanki. Naprawdę, stryj z fotografii jest trochę podobny do Hamprey’a Bogarta, podobny owal twarzy, głębia spojrzenia i górna warga z dwoma pionowymi zgrubieniami. Wiele razy, niestety, wtedy kiedy już było za późno, zadawałem sobie pytanie: jak to możliwe, że będąc na robotach, mógł pójść do fotografa i zrobić sobie zdjęcia w ubraniu, jakie od święta – tak myślę – zakładał jego gospodarz, a potem z Rzeszy wysłać je do domu w Guberni. Wiem tylko, że miał szczęście być u dobrego bauera. Opowiedział mi kiedyś, jak zimową porą w sto-

dole robił z brzozowych witek miotły (pewnie dlatego, żeby się nie nudzić, a może, przede wszystkim, żeby pokazać gospodarzowi, że jest potrzebny, nawet w zimie). I przy tym zajęciu spotkał go ów bauer. Jakież było zdziwienie Janka, gdy ten, zamiast pochwalić, na co liczył jego młody parobek, to go zbesztiał i zabronił wykonywania tego zajęcia. „Są zasady – powiedział – które trzeba przestrzegać”. A po chwili, już spokojnie, wyjaśnił, że miotły robi ten i ten, beczki kto inny, konie podkuwa jeszcze inny. „My robimy grabie. Ordnung musi być” – zakończył, wyjął z kieszeni paczkę papierosów, zapalił i odszedł, pozostawiając młodzieńca podbitego narodu w wielkim zdziwieniu. Janek, mimo że to proste jak budowa cepa stojącego w rogu stodoły, i tak nie mógł pojąć. Niemcy, naród oszczędny, drobiazgowy – dywagował – a tu naraz taka rozrzutność, dla jakichś tam zasad: ten robi to, inny tamto, jeszcze inny coś innego, a my... – nie mógł zrozumieć ichniego myślenia.

Mężczyzna w kapeluszu Marii zawsze kojarzy się z Amerykaninem. Wiesbaden i fabrykę amunicji, w której pracowała wyzwolili Amerykanie, widziała i wojskowych, i cywili w kapeluszach. Inne zdjęcia. Ona z Nataszą przed fabryką, w której pracowały. Długie falujące włosy, a koleżanka – gruby, jasny warkocz spływający po piersi przez lewe ramię. Maria wymienia nazwę wioski Nataszy na Ukrainie, imię i nazwisko brygadzysty, majstra, opowiada, dlaczego ten drugi lepszy był od pierwszego, furiata goniącego do roboty: „ar bait, ar bait” i „schnell, schnell polnische Faulenzer” – ekscytuje się Maria.

– Jakby innych słów nie znał, i tak przez dwanaście, a czasami i czternaście godzin.

Kolejna karta i inne fotografie, z chłopcami: „dwa i sześć lat” – dopowiada Maria. Rodzice z sytuacyjnym uśmiechem, chłopcy poważni, spięci obowiązkiem patrzenia w miejsce, skąd zaraz wyleci ptaszek. Miejsce gdzieś nieopodal kamienicy: łąka na zboczu, w tle horyzont wierzchołków drzew i dymiących kominów kopalni i koksowni (taki obrazek był w książce z geografii). I na urlopie przy żniwach u brata, z kosą i powrósłami. Kobiety chustki podwiązane z tyłu głowy, mężczyźni w nakryciach z chustek do nosa związanych w rogach. Słonecznie, a oni ubrani od stóp po głowy (kłosa nieprzyjemnie kłują, przycięte knowia mogą nawet przebić skórę). Stryjna powoli przekłada szare kartki albumu.

Patrzę na czarno-białe fotografie bliskich, potem na Marię (zawiesiła spojrzenie na jednej z nich) i znowu na fotografie. Pamięcią ogarniam rozsianą w czasie przestrzeń ich trwania. Ich bytu spopielonego do małego kartonika fotografii i tych nędznych fragmentów w pamięci Marii, mojej pamięci i może jeszcze paru innych osób. Myśli jej wędrują pewnie od Wiesbaden, przez czarnoziemy Ukrainy po Chabarowsk przy chińskiej granicy. Twarze matki, rodzeństwa i ich dzieci płowieją w pamięci starej kobiety, tracą kontury, zapadają się w czarne czeluście. Kiedy opowiada, płaczą się już daty, zdarzenia, historie. Łzy bezwiednie spływają

po zapadłych policzkach. Nawet ich nie wyciera, bo i po co, nie ma przed kim się wstydzić; wyschną w bruzdach mijającego życia. Dostrzega moje spojrzenie.

– Często sobie oglądam... i pogadam do nich, i popłaczę przy tym – opowiada mi ze spokojem, stara się uśmiechać – i wtedy mi się wydaje, że nie jestem sama... I kiedy tak się napatrzę, to długo potem ich wszystkich mam przed oczami.

W jej twarzy z wątrobowymi plamami usiłuję wypatrzeć inną Marię, tę zapamiętaną.

Bar „Placuś” był przy placu Tuwima, u wylotu na Nowe Miasto.

Wstępowałem w drodze ze szkoły. Wchodziło się po kamiennych stopniach. Salka nie była duża, kilka kwadratowych (o laminatowych blatach) stolików na stalowych nogach i kilkanaście krzeseł. Przy każdym poruszeniu robił się nieznośny rumor, decybele bombardowały uszy. Siadałem bliżej wejścia do kuchni. Kiedy wchodziła na salkę z talerzami w rękach – wysoka, słusznej postury, cała w bieli (w fartuchu i czepku) – i mnie spostrzegła, uśmiechała się szeroko, pełną twarzą (policzki promieniały od kuchennego gorąca). Widziałem jak błyszczy jej złota koronka. Ona zanosila zamówione placki, potem podchodziła do mnie. Całowałem ją w policzek, a ona opiekuńczym gestem kładła rękę na moim ramieniu. Po chwili znikała za zasłoną szeleszczących, kolorowych pasków folii. Przynosiła półtorej porcji ziemniaczanych placków i kefir, w kubku. Kiedy sięgałem do kieszeni po drobne (zawsze coś tam miałem), znaczącym gestem zaciskała dłoń na mojej ręce. „Nie trzeba. Jedz, jedz” – mówiła, siadając na brzegu krzesła. Jadłem chrupiące placki, popijając zimnym kefirem (przepadałem za tym jedzeniem). Maria pytała, co w szkole. I zawsze zapraszała w odwiedziny. W przerwach między kęsami coś tam opowiadałem, nie zawsze zdążyłem, wchodzili nowi klienci.

– Muszę podawać – mówiła. Potem przechodziła obok mnie jeszcze kilka razy, uśmiechając się.

Maria pokazuje na parawan z prawej strony drzwi i mówi, że Zbyszek zrobił jej łazienkę i ubicację i nie musi teraz wychodzić na korytarz, bo i jak? (Wzrok mimowolnie pada na nieruchome kolana). I znowu o synu: że zagląda czasami do niej, raz albo dwa razy w miesiącu, nie może powiedzieć, że nie. Mieszka na drugim końcu miasta, to nie może często – „ma swoje sprawy”, usprawiedliwia go Maria – spyta, czy matce czego potrzeba, czy może do lekarza zawieźć, czy jakie zakupy zrobić i ucieka. Na syna złego słowa nie da powiedzieć, kiedy jaka sąsiadka wspomni, że Zbyszek powinien to czy tamto.

– Jak trzeba to zawsze mi pomoże, kupi węgiel, do lekarza zawiezie... – zastanawia się – no i łazienkę zrobił. Dobry chłopak – ucina niespodziewanie, by po chwili znowu opowiadać o synu. A „dobry chłopak” i rentą się zaopiekuje – to przede wszystkim – bo, gdy matka będzie potrzebować – zapewnia przy każdej okazji – to on zawsze jest na miejscu, w gotowo-

ści, żeby pomóc, przecież wie, że zawsze dostaje na paliwo, i na co inne też. – Teraz wszystko drogie – podkreśla, usprawiedliwiając przede mną swoją do niego słabość.

Raz w tygodniu przychodzi siostra PCK i pomaga się wykąpać. Nie ma się gdzie wybrudzić, to częściej nie potrzeba.

– Gdyby nie ona... – Maria znacząco macha ręką – śmierdziałabym jak skunks. (Skąd u niej takie słowo? Przecież nie czytała Karola Maya).

Opowiada o listonoszu.

Ważny dla niej dzień oczekiwany z niecierpliwością dziecka.

– Listonosz to taki święty Mikołaj starych ludzi. Dzieci mają Mikołaja raz w roku, a stare ludzie każdego miesiąca – śmieje się i mówi, że tak oczekuje już tylko jego i śmierci.

Maria przygotowuje się do tej wizyty od rana. Dłużej zatrzymuje się przed lustrem, wsuwkami dokładniej upina włosy, nawet wargi pociągnie szminką i skropi tanimi perfumami. Dłużej też myje ręce. Zakłada odświętną bluzkę i kolorowy sweterek. Ze spódnicą radzi sobie najtrudniej. Przygotowuje wszystko już w przeddzień. Ubranie trzeba wyciągnąć z szafy, przewietrzyć ze stęchlizny, czasami i przeparasować.

– Na wózku to na wózku, ale muszę jakoś wyglądać – podsumowuje.

Listonoszem jest Gienek. Maria zna go od małego, całe życie tutaj mieszkał. Kolegował z młodszym synem (tym za granicą), przychodził do ich mieszkania. Teraz przyniesie rentę, usiądzie czasami, gdy się nie spieszy, porozmawia, spyta jak się czuje, nawet i herbatę wypije.

– Dobry człowiek, tylko chodzić już nie bardzo może – z żalem kończy o listonoszu.

Nadmiar czegokolwiek nikomu nie służy, zwłaszcza kiedy nie można obdarować innych. Nawet bardziej szkodzi niż brak. Maria cierpi na nadwagę i nadmiar czasu; nie może przecież ciągle patrzeć w okno, czy rozmawiać z nieobecnymi, to martwi się o innych. Że Bojszczakowa nie wyjdzie z domu bez nitrogliceryny („kiedyś ją złapało w mieście, to by się wykończyła kobieta, dobrze, że apteka była blisko”). Że Paduchową zżera rak. Że listonosz niedomaga na nogi. Że syn ma duże wydatki... Wymienia nieszczęścia bliższych i dalszych, patrzy na swoje zgięte w kolanach nogi i się śmieje, że ona sobie dobrze radzi. Opowiada jak wstaje z łóżka.

U sufitu, nad tapczanem, wiszą na grubych sznurach stalowe kółka. Maria dosięga ich, gdy siedząc podniesie ręce. Najpierw ściąga bluzę piżamy (łatwiej zdjąć niż koszulę), drży, jesienny chłód przenika ją na wylot. (Psioczy na jesień i dostaje dreszczy na myśl o zimie. O każdej zbliżającej myśli, że to jej ostatnia. I tak od kilku lat. Jest przekonana, że któregoś roku nie doczeka wiosny). Kiedy poradzi sobie z piżamą, wciąga na siebie bluzki, bluzy, swetry –

ubiera się „na cebulę” – a na wierzch taki gruby, z owczej wełny. Dopiero wtedy chwyta za kółka. (Wózek stoi tuż obok, tylne kółka, by się nie cofnęły w czasie siadania, blokuje przy-mocowana do podłogi listwa). Musi się sprężyć, i na ugiętych ramionach (bezwładne nogi stopy wbijają w miękki tapczan) unieść się nad posłaniem; lewitując opada na siedzisko wózka, bacząc, by trafić między wsporniki ramion. Kończyny Marii są ciężkie i długie, a rzopa („po naszemu nazywam – mówi i się uśmiecha – trochę ładniej”), jak wybujała dynia z trudem mieści się na wózku. Maria musi mieć tyle siły w rękach, by się podciągnąć na tych kółkach. Boi się myśleć, co by się stało, gdyby nie miała siły się unieść albo nie trafiła na wózek. Usadowienie się na nim – niemalże przedsięwzięcie dnia.

Zaciska dłonie na kółkach i lewituje w lewo, opada z westchnieniem ulgi, kiedy kolejny raz się udaje; gdy się już wymości, końce kocyka upycha pod nabrzmiałe opuchlizną uda – wtedy dopiero kładzie dłonie na gładkie powierzchnie opon i nakierowuje wózek w stronę otwartych drzwi do kuchni. Tutaj porusza się utartymi ścieżkami: kuchenka, zlewozmywak, kredens, okno i odwrotnie, i w innej kolejności. W misce z wodą obmywa twarz i oczy z nocnych mar, które ją nawiedzają często. Potem codzienny, niespieszny, rytuał ze śniadaniem: pieczołowicie smaruje kromki chleba (cienko, oszczędnie – nawyk z dawnych lat – zaciąga je masłem), nakłada cienki plaster paszтетowej, mortadeli czy innej taniej kiełbasy, i dokładnie, popijając herbatą, przeżuwa.

Maria skończyła opowiadać (mam przecucie, iż uznała, że powiedziała mi już wszystko), odchyliła się i oparła o poręcz krzesła, opuściła głowę i milcząc, zastyga. Patrzy z zainteresowaniem pod stół, jakby zobaczyła coś, czego dotychczas nie widziała. Podniosła głowę – jej uśmiech jest nieporadny, smutny.

– Czasami tak sobie myślę – mówi powoli, z powagą – że gdyby ich nie było, miałabym łzej. – Patrzy na mnie spojrzeniem bez wyrazu. (Orientuję się, że ma na myśli swoje bezwładne nogi). Po chwili przenosi spojrzenie w okno. – Znowu pada. Dzisiaj tak cały dzień.

Pogoda jest kołem ratunkowym naszej rozmowy. Teraz mówi o deszczu, że jesień i zima są dla niej najgorsze. Poprawia się, że tylko jesień, bo gdy spadnie śnieg to jest ładnie.

– Siedzę wtedy w oknie i patrzę...

Kiedy tak opowiada, oczami wyobraźni widzę jesienne poranki, kiedy za oknem przeciera się noc: kryształki wody wiszące u gałęzi drzew, jak bombki na choince, omszałe sztachety ogródków, kałuże wody przed blokiem. Maria budzi się wcześniej, o wiele za wcześniej. Otwiera oczy, kiedy na podłodze ścieli się półmrok, a w oknie nieśmiało przegląda dzień. W pokoju ziąb. Zimne powietrze przeciska się przez nieszczelne okna. Wiatr tłucze okiennicami

(przetrwały tyle lat!), hałasuje urwana rynna, strumienie wody ślizgają się po tynku. Mur jak gąbka chłonie wilgoć, rosną pleśń, grzyby...

Za oknem szarzeje.

Maria dostrzega moje spojrzenie.

– Jeszcze zdążysz, dokąd się śpieszysz – usiłuje mnie zatrzymać. – Wiesz, przed tygodniem miałam odwiedziny. Przychodzą kilka razy w roku – uśmiecha się tajemniczo. – Opowiem ci. – I opowiada jak przyszli do niej świadkowie Jehowy. – Wpuszczam, bo co mi tam, teraz mi wszystko jedno. Siada, ja im zrobię herbatę; czasami, gdy mam, to i ciastkami poczęstuję. Oni mnie już nie nawrócą. Tym razem przyszła kobieta i dziewczynka, dwanaście, może trzynaście lat; dziecko jeszcze, a już ciągną je po domach. Wyjęła książeczkę, potem drugą, pokazuje obrazki (takie same jak wtedy, kiedy byłam młoda) i zaczyna mi opowiadać o szczęściu i o zbawieniu, jakie mnie czeka, gdy przejdę na ich wiarę. Nie odzywam się, tylko potakuję głową. Skończyła (dziewczynka przez cały czas się nie odezwała), potem patrzy na mnie i pyta, czy się zgadzam (za każdym razem jest to samo). Muszę jej coś odpowiedzieć, myślę sobie. Mówię, że może bym i przyszła do was – ona tak z uwagą mi się przygląda – tylko, jak mam to zrobić? Klepię się po tych swoich martwych kulasach. – Maria śmieje się jak z dobrego dowcipu.

Żadne dźwięki nie dochodzą z zewnątrz, prócz kropel deszczu spadających na parapet. Rząd komórek za oknem ginie w przedsionku nocy, twarz Marii rozmywa sączący się przez szyby zmierzch.

Na mnie już czas. Woda chlupie pod stopami. W padających kroplach deszczu odbija się twarz Marii. Przed ścieżką wiodącą do ulicy jeszcze się oglądam. Wysmołowane dachy komórek połyskują jak brzuch olbrzymiej ryby przewalającej się przez fale. Monumentalny budynek ocieka wodą.

*

Tam już nikt nie mieszka.